

# NAOKOŁO ŚWIATA.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE,

POŚWIĘCONE OPISOM ZIEM, LUDÓW, PODRÓŻY, ZJAWISK PRZYRODY I WYNALEZKÓW.

Nr 17

Warszawa, d. 23 (10) Kwietnia 1904 r.

Rok III.

ANGLICY W TYBECIE.



„Niebezpieczna ślizgawka” — droga od Dżelapi do Yatungu.

## Współczesna żegluga morska

napisał

MARJUSZ ZARUSKI,

*szturman marynarki handlowej.*

(*Ciąg dalszy.*)

Wejście i wyjście z portu, zarzucenie i podjęcie kotwicy na statku parowym nie przedstawia żadnych trudności. O żaglach naturalnie niema tu mowy: rozwijane one bywają tylko na pełnym morzu. Parą podnosi się tu kotwicę z pokładu na kotwiczną maszynkę, parą (wstecznym ruchem śruby) wstrzymuje się bieg statku, kiedy kotwica zostanie już zarzucona; parą wreszcie wyciąga się z wody kotwicę i podnosi ją ostatecznie na pokład. Musi jednak i tutaj kapitan znać dobrze wszystkie narowy swego parostatku, ażeby nie omylić się w rachubach, czynionych z konieczności na oko.

Na zakończenie opisu praktycznej strony żeglugi należy słów kilka powiedzieć o zasadach rozmijania się statków i sygnałach, używanych na morzu. Pierwsze i drugie, przyjęte i uzupełnione na międzynarodowych kongresach, wyłożone są w osobnej broszurze, służącej do praktycznego użytku żeglarzy. Nie możemy się więc tutaj wdawać w szczegółowe roztrząsania prawideł, ściśle określających sposoby sygnalizowania i rozmijania się statków: poprzestaniemy na ogólnych zasadach, stanowiących podstawy „Zbioru międzynarodowych przepisów“ \*).

1) Pierwszą taką zasadą jest podział na statki parowe i żaglowe—ze względu na motor, którego w danej chwili statek używa. Z tego punktu widzenia statek parowy, idący o żaglach wyłącznie (bez udziału maszyny) uważany jest za statek żaglowy.

2) Podział na statki w ruchu i na kotwicy stojące.

3) Statki, zdolne do żeglowania i pozbawione chwilowo możliwości ruchu (np. leżące na mieliźnie, parostatki z zepsutą maszyną i t. p.)

4) Przy spotkaniu statki rozmijają się wprawo.

5) Statki parowe ustępują z drogi żaglowym.

6) Statki żaglowe, znajdujące się w bardzo sprzyjających dla żeglugi warunkach, (np. idące na fordemwind) ustępują z drogi innym żaglowcom.

7) Każdy statek powinien starać się przy rozmijaniu się obchodzić drugi od strony rufty — zasada ta tyczy się tylko tych statków, które w myśl przepisów obowiązane są ustąpić z drogi.

8) Podczas mgły, sztormu, deszczu lub śnieżycy każdy statek powinien iść powolniej niż zwykle i dawać sygnały: parowy — gwizdawką lub syreną, żaglowy — tubą (z miechem najczęściej).

9) Podczas mgły, sztormu, deszczu lub śnieżycy każdy statek, stojący na kotwicy, powinien dzwonić w dzwon.

10) Od zachodu do wschodu słońca każdy statek obowiązany jest mieć odpowiednie i na odpowiedniej wysokości umieszczone światła.

(*C. d. n.*).

## Szkoła polska w Paryżu.

(*Dokończenie.*)

Słów parę jeszcze pragniemy poświęcić nauczaniu przedmiotów polskich. Tutaj przede wszystkim pamiętać o tym należy, że do szkoły wchodzi uczniowie, nie umiejący po polsku wcale; tacy, których rodzice najczęściej języka polskiego nie znają, są to przeważnie dzieci z małżeństw mieszanych, niekiedy zupełnie zfrancuziałych. To jedno. Następnie pamiętać o tym również trzeba, że program obowiązujący w szkole wypełnia całkowicie dzień szkolny, iż zatem na język polski pozostaje stosunkowo niewiele czasu, godziny wieczorne np. jak to ma miejsce dla tych uczniów, którzy uczęszczają do wyższych klas liceum. Wiadomo, jaką wartość posiada nauczanie języków w szkole: można jedynie nauczyć się tyle, aby móc się zorientować i po wyjściu ze szkoły przy pewnym nakładzie pracy braki dopełnić. Te właśnie podstawy, na oko bagatelne, a jednak zasadnicze, daje szkoła polska; przy dzisiejszej organizacji, tego i tylko tego wymagać od niej można. Dodamy, że dla wprawy w rozmowę polską, szkoła utrzymuje stale jednego, albo dwu stypendystów-studentów—Polaków w roli wychowawców, którzy w czasie rekreacji, spa-

\*) W państwie rosyjskim obowiązują dzisiaj przepisy, ogłoszone w r. 1897. *Przyp. aut.*

cerów itp. obowiązani są rozmawiać z uczniami po polsku.

Rezultaty w tym względzie mogłyby być o wiele lepsze, gdyby społeczeństwo polskie przyszło szkole w pomoc. Szkoła, o ile jej na to pozwalają fundusze, wysyła najlepszego ucznia na czas wakacji do kraju. Jeden na trzydziestu kilku to niewiele, ale od społeczeństwa zależy, aby uczniów wyjeżdżało więcej, tymbardziej, że korzyść, jakaby stąd wynikła, mogłaby być zobopólna. Niechby osoby, mieszkające w kraju i uczące swe dzieci po francusku, sprowadzały na czas wakacji starszych uczniów szkoły polskiej, w charakterze guwernerów; kosztowałoby to stosunkowo niewiele, (gdyż tylko koszty podróży z Paryża i z powrotem liczyć należy), a dzieci, uczące się po francusku, skorzystałyby dużo, skorzystałyby i uczeń z Paryża przez zaznajomienie

wczym pobierali to stypendjum dwaj asystenci Wszechnicy Jagiellońskiej; 1125 fr. z funduszu im. Seweryna Gałęzowskiego dawnym uczniom szkoły na studia wyższe.



Jadalnia.



Grupa uczniów szkoły.

nie się z krajem, stosunkami krajowymi i przez nauczanie się języka. O ile jesteśmy poinformowani, zarząd szkoły chętnie zgodzi się na tego rodzaju kombinację.

Z kolei zajmniemy się finansami szkoły. Majątek szkoły, wedle ostatniego sprawozdania <sup>1)</sup>, wynosi wraz z funduszem donacyjnym 820,191 fr. <sup>2)</sup> (w czym fundusz donacyjny 223,414 fr.; z odsetek od funduszu donacyjnego wydawane są corocznie stypendja, i 5000 fr., z funduszu im. braci Śniadeckich, dwu kandydatom przedstawionym przez Akademię Umiejętności w Krakowie <sup>3)</sup>, w r. sprawozda-

Główną pozycję dochodów szkoły (27200 fr.) stanowią dary, subwencje (prywatne i rządowe), zapisy, słowem dochody nadzwyczajne, których z góry przewidzieć nie można; następne miejsce zajmują dochody od watorów, należących do szkoły (14610 fr.); najmniejszą pozycję stanowią wpisy od uczniów (175 fr.); pozycji tej wogóle pod uwagę brać nie należy. Temi właśnie względami (niestałością dochodów) tłómaczy się niejednorodność bilansów szkolnych. Rok sprawozdawczy zamknięty jest niedoborem; jeżeli jednak wziąć pod uwagę przeciętną z kilku lat ostatnich rachunki zamykają się nadwyżką.



Sypialnia.

Jak widzimy, szkoła polska do pewnego stopnia jest instytucją filantropijną. W zasadzie rodzice winni płacić za uczniów tyle, ile

<sup>1)</sup> *Distribution solennelle des prix. Année scolaire 1902/3.*

<sup>2)</sup> W podanych sumach centymy są opuszczone.

<sup>3)</sup> Mylnie rozpowszechnionym jest zdanie, jakoby stypendjum niniejsze było stypendjum Akademii; jest to stypendjum szkoły, o czym, niestety, niejednokrotnie nawet stypendyści sami nie wiedzą.

płacić są w stanie; ponieważ jednak są to przeważnie ludzie niezamożni, płacą bardzo mało, a niekiedy nic nie płacą. Szkoła bierze na siebie całkowite koszty utrzymania i nauki (dodamy nawiasem, że za 12 letniego ucznia np. uczęszczającego do szóstej klasy liceum rządowego, szkoła samego wpisowego opłaca około 269 franków.)

Jeśli chodzi o wydatki, następujące pozycje zasługują na uwagę: koszty administracyjne: 6233 fr., koszty naukowe 15263 fr., koszty utrzymania 14906, odzież i obuwie 2654 fr., koszty ogólne (utrzymanie budynków, doktor, lekarstwa, światło, opał, pranie i t. d.) 15650 fr. Z funduszu donacyjnego, oprócz 6125 fr. wyżej wymienionych stypendjów: 675 fr. jako nagrody dla uczniów.

Tak mniej więcej w ogólnych zarysach przedstawia się szkoła polska. Na zakończenie słówko o jej przyszłości. Prawo do korzystania ze szkoły mają przede wszystkim synowie i wnukowie emigrantów-Polaków; ponieważ jest ich coraz mniej, rzecz prosta liczyć się z tym faktem należy, że z czasem zabraknie ich zupełnie. Jaki los czeka wtedy Szkołę Polską w Paryżu? Zarząd szkoły możliwość tę przewiduje. Z chwilą, gdy liczba kandydatów będzie tak mała, że utrzymanie szkoły w obecnej formie, tj. jako szkoły dla dzieci, nie będzie miało racji bytu, szkoła zamieniona prawdopodobnie zostanie na internat, w którym niezamozna młodzież polska, przyjeżdżająca na studia do Paryża, znajdzie przytułek i pomoc naukową; będzie to coś w rodzaju domu akademickiego polskiego w Paryżu. Projekt pochwały godny i zbliżony do celu, jaki stawiali sobie założyciele szkoły, pozwalający przytym w każdej chwili, w razie potrzeby, na przywrócenie szkoły dla dzieci. Istnienie takiego domu akademickiego w Paryżu, choćby nawet na tak małą skalę, byłoby bardzo pożądanym ze względu na znaczną ilość młodzieży polskiej, studjującej w Paryżu, i to przeważnie młodzieży niezamożnej, niejednokrotnie walczącej z ostatnią nędzą.

Pozwolimy sobie podziękować członkom Rady szkolnej i Administracji szkoły za dostarczone nam informacje, p. Henrykowi Lewenhardowi—za odbitki fotograficzne, ilustrujące niniejszą notatkę.

*Kazimierz Woźnicki.*

PIOTR LOTI.

## INDJE.

w przekładzie  
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Dziesiąta. Barka teraz posuwa się już nie pod palmami, lecz pod niebem błękitnym, jakby aleją szeroką, pomiędzy żywopłotem białego kwiecica. Przedemną dwa symetryczne rzędy bronzu ludzkiego ciągną bez przerwy swe ruchy maszynowe, trwające już przez sześć mil angielskich. Tylko nieco potu perli się na ich ciałach, dając im połysk prawdziwego metalu, odznaczając rysunek anatomiczny ciała w słońcu preraźliwym. Kwiecie ulewne nadbrzeżnych krzewów odcina się białością surową od błękitu głębokiego nieba; owoce tych krzewów powstają razem z kwiatami, owoce dorodne i jałowe; zaściełają wszędy wodę, jak złotym gradem drobnych rajskich jabłuszek.

Wioślarze moi wciąż czynni; obecnie śpiewają, jak ludzie śpiący, zahypnotyzowani w swym trudzie krzepkim; uśmiech nieokreślony odsłania ich zęby błyszczące.

Mijamy kraj zamieszkany; osady, pagody; stare kościoły w tym stylu nieco hinduskim, który tu przyswoili sobie chrześcijanie syryjscy.

Droga nasza wodna zacieśnia się pomiędzy nadbrzeżami rozesłanych paproci — i naraz mrok ciemnicy, świeżość podziemia: jesteśmy w długim przekopie (tunelu), który kazał sporządzić Maharadża, żeby dać statkom możność łączenia szlaku z lagunami odleglejszemi, z lagunami północy, przez które dążyć będziemy dziś wieczór i jutro dzień cały. W przekopie tym szmer wiosła rozlega się, jakby dziesięćkrotny, a kiedy inne statki podobne, naprzeciw dążące, podobne do czarnych wielkich cieni, mijają się z naszym, wioślący wydają okrzyki, przez echo żałobne wielokroć powtarzane.

Południe. Zmiana załogi. Przebywszy podziemia, jesteśmy znowu wśród labiryntu wysepek i palm, aż wreszcie dobijamy do brzegu przy wiosce, ukrytej w zieleni, gdzie oczekuje zmiana czternastu wioślarzy. Takie sta-

Do art. p. t. „POWIAT RADZYŃSKI“ (Nr. Nr. 14, 15, 16).

MAPA  
POWIATU  
RADZYŃSKIEGO

1904 r.



cje urządzono wzdłuż całej drogi dla statków Maharadży.

Kiedy świeża załoga zajęła miejsca, zrazu — wybuch szalony ruchów i okrzyków; rzekłbyś, z radością dziecięcą posuwają się w drogę; podniecają się wzajem do wiosłowania, do śmiechów, do śpiewu, ukazując aż do głębi zęby świetnej białości. Jedni z nich, chrześcijanie, noszą szkaplerze, kołyszące się na piersi nagiej; drudzy — mają znamię Szywy, malowane na czole, a także trzy linie poziome Szywy, przeciągnięte farbą popielatą na bicepsie i na piersiach.

Palmy, jednostajny przepych palmowy! Naciera on wciąż bardziej i jakby niepokoi. Ta myśl, że więcej niż dwieście mil dokoła, kraj cały pogrzebany w tym poszyciu możliwym, nastrocza rodzaj trwogi, tego szczególnego uczucia, które starożytni zwali mianem „grozy leśnej.“

Palmy, cała nieskończoność palm! Jedne, jakby powietrzne, zgrupowane wachlarzami na końcach trzonów, bardzo wysokich, pochylonych, drugie, jeszcze dorodniejsze, to te z młodych pędów, tryskające zwitkami z ziemi cieplej i wilgotnej. A wszystkie tak zielone, tak świeże połyskliwe! Błyszczą w słońcu świetne, wygładzone, podczas kiedy pod niemi w tej porze południa laguny lśnią się, jak zwierciadła wyblakłe.

W barce mojej jakież wylew żywotności pod tym słońcem obecnie prostopadłym, pod promieniami, które poraziłyby odrazu ludzi rasy białej! To dziw prawie — wiosłować tak całymi godzinami, ściągać i rozpręzać mięśnie ramion, na których żyły nabrzmiały sznurami się znaczą i śpiewać przytym całym gardłem — na wysoką nutę! Chwilami owłada niemi jakaś wściekłość dzika: pieśń staje się piorunową, zdyszana; z szaleństwem naciera ją na wodę; piana się wzbija, wiosła pękają. I wtedy znaki hieratyczne Szywy na ich skórze ciemnej ścierają się do reszty, zmywane potem, który spływa po ciele.

Koło wieczora laguny znowu się zacieśniają pomiędzy urwiskami nadbrzeżnymi, pod spadkiem ljan i paproci. Dokoła nas setki bark odpoczywających, nad głowami naszymi most z ciosu rzeźbionego. Jest to jedno z większych miast Trawankoru, miasto Quilon, również, jak Triwandrum, rozsiane pośrodku ogrodów; na jakiś czas przerwa tu palm; na ich miejsce drzewa mniej odmienne od na-

szych; dostrzegasz również polanki i krzewy różane.

Białe schody kamienne prowadzą aż do wody, a nad niemi biała kolumnada: siedzi ba to — oświadczają mi — oddawna mi zamieszкана; tutaj z rozrządzenia władz przygotowano mi spoczynek wieczorny. Gdyśmy z nocą nastającą przybili do brzegu, służący indyjscy w szatach białych, jak ten dom, zbiegają po schodach i ofiarowują mi na powitanie olbrzymi bukiet z róż na srebrnej tacy. Muszę tu pozostać godzinę lub dwie, by dać możność wytechnienia mym niezmordowanym wiosłarzom.

Po wieczery nic mi nie pozostaje, jak marzyć w ustronnym ogrodzie. Rzekłbyś, stary ogród francuski, nieco zapuszczony, z grzędami róż bengalskich na skrajach alei. Przedemną niebo gasnące zachowuje jeszcze tę czerwień ciemną na horyzoncie zachodu, to rozżarzenie głuche, monotonne, jakie w naszym kraju dostrzegasz w upalne letnie wieczory...

I oto pośród tej ciszy spada na mnie raptownie słodka i znana mi niewola moich wspomnień dziecinnych; jak zawsze i jak wszędzie, poddaję się im całkowicie, smętna to bowiem uciecha, która najmniej wyczerpuje. W ogrodzie, jak ten, tak samo zapuszczonym i tak samo okolonym lasami, czerpałem pierwsze me wrażenia przyrody, pierwsze marzenia o „krajach ciepłych,“ w gorące wieczory lipcowe i sierpniowe, wobec podobnej czerwieni zachodu na płaskim skłonie niebios.

W powietrzu tych lat ubiegłych unosiła się taka sama woń jaśminowa, tak samo przełatywały bez szelestu czarne na tle niebios miedzianym niedoperze, puhacze, gorącym i zmierzchem obłąkane. Niedoperze tutejsze, wlatujące do mieszkań — to prawda — nazbyt duże; lot ich bezdźwięczny i dziwaczny, podobny do lotu naszych niedoperzy, należących do gatunku olbrzymów, który zwą rudzikami albo wampirami, a obszar ich skrzydeł poprostu zbija z tropu.

W chwilę potem, całkiem niespodzianie, w dali, pod wielkimi drzewami, tworzącymi w tym ogrodzie jakby pas ciemności, rozlega się dźwięk trąb i kobz obrzędowych: to godzina Brahmy; słyszę, jak z głębi świątyń dopływają wołania ludzkie modłami wieczornymi.

I znowu cisza raptowna zawisa ciężarna, zakrzepła, zakłęta na przeciąg kilku sekund,

z czymś tak smutnym i stłaczającym, jak nigdy dotychczas. Przypominam sobie, że to noc 31 grudnia r. 1899: za chwilę wiek, który był wiekiem mojej młodości, runie w otchłań. Gwiazdy te, które tam błyszczą, dla nas niby wieczyste, w myśl moją, w duszę biednej uludy, wpajają i teraz, jak zwykle, tylko bardziej druzgocące, poczucie stałej wieczności; zagłada tego wieku, który się kończy i powstanie następnego, który mnie uniesie, stają się dla mnie wartościami całkiem bez znaczenia w tym poczuciu ciągłości stałej i zastraszającej. Trwoga zwykła—tak szybko przeminąć i umrzeć; niepokój dziwny, nęcący — być otoczonym temi wielkimi lasami i świątyniami, być pogrzebanym przez te Indje bramińskie, w ich cieniu; uczucie wygnania i trwałość zarazem uludy, jaką mi daje ten stary ogród — z temi różami i jaśminami; zespol niezatracalny i niewysłowny, który tak często odczuwałem, w wędrówkach po obcych krajach, lecz który z laty się zaciera, jak wszystko na świecie—i który tego wieczoru gaśnie już szybko we mnie—w przyjemnym zmęczeniu fizycznym, w tęsknicy tej nocy ciepłej, w śnie...

O 9-ej znowu płyniemy, pod jasnym niebem roziskrzonym, z tą samą załogą wypoczętą, która jeszcze w ciągu dwu mil ma wiosłować—aż do wioski pobliskiej, gdzie czeka na nią zmiana.

Barki powolne, mijające nas, przeciągają wzdłuż naszej czarnymi sylwetami, zwiększonymi, zdwojonemi przez odbicie w wodzie; wyglądają, jak bardzo wysokie gondole, trochę widmowe.

Wkrótce labirynt lagun, który znów, jak morze, się rozrósł, napęlnia się światłami: to latarnie rybackie; wielkie pochodnie dla przynęcania ryb; wielkie kępy trzciny, poruszane ciągle, dla utrzymania ognia. Wszystko to odbija się łańcuchem w lśniącej powierzchni, na której powiew nocny zaledwie kilka zmarzszerek wyżłabia. Pod rytm wiosł jednostajny zasypiam z uczuciami, jakie się z tego życia otrzymuje, z życia okolicznego, w tym wodnym żywiole; życie to — prawdę rzecz — pierwotne, nie wiele różniące się od życia naszych przodków nawodnych.

(C. d. n.)



## XII.

### Gilacy.

(Pochodzenie.—Charakter.—Pewne zwyczaje.—Sposób życia.—Stanowisko kobiety.—Ustrój społeczny.—Wyobrażenia religijne.—Zetknięcie się z cywilizacją).

Wszystkie cechy typowe rasy mongolskiej występują u tego ludu, który również jak garść Ainów osiedlił się przed wiekami na Sachalinie. Obyczaje, tradycje plemienne, pewien całokształt wierzeń, wreszcie język Gilaków pozwalają wnioskować o bliskim pokrewieństwie tego plemienia z Tunguzami, mieszkającymi dotąd na azjatyckim lądzie stałym. Tych braci swoich z nad Amuru Gilacy nazywają *Kile*, nazwa ta atoli została przez etnografów do nich samych przyczepiona. Zaszło więc jedno z tych nieporozumień, jakie przy badaniu nieznanymi a dzikimi gromad ludzkich dość często się zdarza. Siebie samych nazywają Gilacy *Iabesse*, zaliczając się jednocześnie do wielkiej rodziny ludów mandżurskich, do której, według nich, należą Chińczycy wraz z Japończykami. Twierdzenia owe oczywiście pozbawione są w znacznym stopniu ścisłości, dowodzą jednak pewnej bystrości umysłu, oraz wyraźnej świadomości swego pochodzenia u tego w stanie półdzikim żyjącego ludu.

Ciężki jest byt Gilaków na onej ziemi wygnania i rozpacz, gdzie surowość klimatu, ubóstwo gleby zniewala człowieka do ciągłej a ciężkiej pracy.

Kilka chat nędznych stanowi wieś gilaćką. U ludu tego zachował się przedhistoryczny zwyczaj wznoszenia domów na palach. Takie pierwotne domostwo nazywa się *ta* i budowane jest z drzewa; za mieszkanie służy tylko w lecie, natomiast chaty, przeznaczone na spędzenie zimy, noszą nawet *toraf*.

Gilacy są gościnni i nigdy nie odmawiają podróżnym przytułku. Ale jakże nieznośnym musi być dla Europejczyka pobyt wśród nich! Dom składa się z jednej dużej izby,

pośrodku której znajduje się ognisko, będące zarazem symbolem ducha opiekuńczego rodziny, niekiedy bardzo licznej. Dwadzieścia kilka osób, czasami nawet więcej, gnieździ się w takiej izbie bez okien, pełnej dymu, swędu i niemiłej woni kuchennej.



Rodzina Gilaków w podróży.

Lud to niechlujny i cuchnący. Gilak nie używa nigdy kąpieli, chociaż, jako rybak, ma wody pod dostatkiem; myje się tylko w zimie, w dniu wielkich uroczystości i w dodatku także nie w wodzie, lecz w tłuszczu, z fok pochodzącym. Wedle wierzeń gilackich kobieta popelnia grzech, jeżeli jej przyjdzie na myśl wykąpać się.

Gilacy, zarówno mężczyźni jak kobiety, noszą jednakowego kroju odzież; składa się ona ze spodni i obszernego kaftana, którego forma przypomina ubranie wierzchnie włóscian rosyjskich. Do fabrykowania odzieży używają skór lub materiałów łokciowych, nabywanych przeważnie sposobem zamiennym u kupców rosyjskich i japońskich. Oryginalnie wygląda ich obuwie, wyrabiane ze skór renów i fok, oraz kapelusze i czapki, nadające dobrodusznym twarzom tych ludzi wyraz groźny. Na odzież letnią Gilacy zwykli używać skór zwierząt morskich, ozdobionych dziwaczными czerwonymi lub niebieskimi deseniami.

Mężczyźni zajmują się myśliwstwem i połowem ryb, które stanowią główne pożywienie Gilaków, zarówno w lecie, jak w zimie. Kobiety mają na swych barkach gospodarstwo domowe: szyją odzież, gotują, niańczą dzieci i utrzymują w porządku całe gospodarstwo. Przepadają za pierścionkami, które ozdobiają ręce; noszą także nausznicę metalową, a bogatsze przewlekają sobie przez nos kółka srebrne, niekiedy tak duże, iż przez nie swobodnie mogą przeciągać język.

Gilak uważa niewiastę jako istotę niższą, stworzoną wyłącznie do pracy i ulegania mężczyźnie.

„Kiedy kobieta pracuje, to nie powinna rozmawiać, albowiem z gadulstwa jej płynie strata dla mężczyzny.“ Oto jest pogląd Gilaków na słabszą połowę rodzaju ludzkiego.

„Jeśli kobieta była pracowitą—taką wyraził raz opinię pewien Gilak—uczciwą i mało mówną, wówczas oplakujemy jej zgon na równi ze zgonem mężczyzny.

Oczywiście, wobec podobnych poglądów na niewiasty, małżeństwa z miłości śród tego ludu należą do wyjątków. Gilak kupuje sobie żonę, dając za nią przyszłemu swemu teściowi, stosownie do umowy, już to kilka psów, już sanki, już wreszcie łódkę. Specjalnej ceremonii zaślubin nie ma.

Gilacy otaczają swe dzieci wielką troskliwością; synów uważają za szczególnie łaskę niebios, nadają im też imiona, mające znaczenia takie, jak odwaga, śmiałość, inteligencja. Córki natomiast są uważane za pewien ciężar w rodzinie; ceni się je o tyle, o ile w przyszłości staną się przedmiotem małżeńskiego przetargu.

Ustrój społeczny tego ludu jest nader pierwotny. Każda rodzina tworzy ściśle zamknięty w sobie *klan*, którego naczelnikiem jest ojciec, a po śmierci tegoż najstarszy syn. Kil-



Rybakcy gilaccy.

ka klanów, wyprowadzających swoje pochodzenie od jednego ojca, stanowi pokolenie, które, dla wyróżnienia się od innych pokoleń, ma swoją osobną nazwę.

Gilacy mają nader niejasne wyobrażenie o naturze bóstwa, które w ich przekonaniu

zamieszkuje przestrzeń, nie zaś niebios. Ten Bóg nieokreślony, nie posiadający cech indywidualnych—niemal abstrakcja—nie jest przedmiotem specjalnej ich czci, natomiast mają oni ciągle w pamięci niezliczoną gromadę podrzędnych bóstw, bytujących w naturze. Te duchy, wyrażające uzmysłowienie niezbadanych sił przyrody, są przeważnie pełne złości i istnieją po to, by człowieka męczyć i dręczyć. Wiodą też między sobą, niby ludzie, walki zawzięte i również często ludzkim podlegają namiętnościom.

Ciała zmarłych Gilacy palą na umyślnie przygotowanych stosach, rzadziej grzebią je w ziemi. Część rzeczy, należących do nieboszczyków, ulega zniszczeniu.

Co do życia pozagrobowego istnieją wśród nich nieokreślone wyobrażenia. Jedni twierdzą, że dusze dopiero po śmierci znajdują sprawiedliwość: biedni stają się bogatymi. Inni znowu są zdania, że wszystko z życiem ziemskim się kończy.

Pewien podróżnik, asystujący przy obrzędzie palenia ciała nieboszczyka, spytał Gilaka: co się stanie z duszą zmarłego.



Kolebka gilacka.

— Cóż się ma stać: spłonęła razem z jego ciałem—odrzekł ten sceptycznie.

Lud ten, z natury swej łagodny i dobroduszny, ma pewne odczucie poezji i piękna w naturze. Lubi muzykę i śpiew, oraz odznacza się zamiłowaniem do rzeźby. Wszystko to

oczywiście nie wytrzymuje porównania z naszymi pojęciami o sztuce.

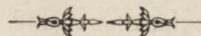
Cywilizacja dotarła do Gilaków z dwu stron: ze strony japońskiej i rosyjskiej. Jednakże zapoznał się z nią ten lud już to przez chciwego zysku kupca, już też przez zetknię-



Muzyka gilacka.

cie się z szumowinami społeczeństwa rosyjskiego. Gilak wszedł wprawdzie w stosunki z ludźmi białymi, ale z takimi, którym karząca ręka sprawiedliwości wskazała na mieszkanie tę ziemię cichego smutku, trawiącej tęsknoty i rozpacz—nic przeto dziwnego, że na tym zetknięciu się nie zyskał, lecz stracił.

am.



## Śmierć, zabobony

### i obrzędy pogrzebowe

u różnych ludów.



(Dalszy ciąg.)

Zwyczaj grzebania umarłych w ziemi przechodził różne stadia, zanim przybrał postać poprawną; pierwsze groby w ziemi były, prawdopodobnie, mieszkaniem ludzkimi, porzuconymi wraz ze zmarłym i przysypanymi ziemią. U wielu ludów pozostały zwyczajne „szczątkowe”: Bogobowie ubierają zwłoki, wśród ogólnej radości całej rodziny, w najpiękniejsze szaty, owijają je makatą, poczym, wykopawszy rów pod chatą, składają tam trupa, niekiedy w towarzystwie umyślnie zabitego niewolnika, przysypują ziemią i wynoszą się w inną okolicę.

Na Tonga składają zmarłego do łodzi, ustawionej w domku przedśmiertnym, a przebrawszy

go w odzież odświętną, zrzucając do trumny wszystkie jego kosztowności, poczym orszak pogrzebowy rusza nad morze, gdzie plecie koszyki z liści palmowych i napelnia je piaskiem, jasnym i ciemnym, którym przysypuje wierzech grobu zmarłego, na zakończenie ceremonji pogrzebowych — po 2-tu dniach.

Niekiedy sama przyroda dostarcza człowiekowi pierwotnemu grobowców naturalnych; z tych szczególnie rozpowszechnione są po całej kuli ziemskiej, z wyjątkiem lądu australskiego, grobowce dolmenowe (dolmeny, czyli „stoły kamienne“): jedna lub więcej płyt kamiennych, położonych na ustawionych pionowo, kilka lub kilkanaście innych, bądź tworzących czworobok, bądź zamykających koło. Howowie, na Madagaskarze, dotychczas chowają swych nieboszczyków m takich dolmenach.

Buszman, ułożwszy w grobie ciało naczelnika, przywala je kamieniami.

W niektórych okolicach chowają zwłoki wysoko nad ziemią, bądź na drzewach, bądź na umyślnie budowanych wzniesieniach. Wpływają na to nieraz stosunki topograficzne danej okolicy. Samojedzi latem zakopują zmarłych w ziemi, ale zimą, gdy wykopanie zaskorupionej ziemi wymagałoby olbrzymiego nakładu pracy, składają zwłoki do skrzyń drewnianych i ustawiają je na podniesieniu, nad ziemią. Gdzieindziej ziemia, wyprazona skwarem słońca, nie nadaje się na groby; to też nieraz badacz lądu australskiego znajduje zaszyte w korę drzewną i oplecione łykiem zwłoki ludzkie; schowane starannie śród gałęzi odwiecznego drzewa, na 3 i więcej metrów nad ziemią. Aby powstrzymać rozkład, zwłoki te bywają wpierw suszone, a nawet wędzone.

U pewnych plemion Annamu, Sjamu, Kambodży i Birmy istnieje zwyczaj układania zwłok na umyślnie sporządzonych drabinkach, zawieszonych nad wolno gorejącym ogniem; gdy ciało zmieni się w mumję, zdejmują je z rusztowania, ubierają w najpiękniejsze szaty i wystawiają w domu, nieraz na kilkanaście lat, zanim rodzina urządzi pogrzeb.

U Karybów członkowie rodziny zabierali część zwłok zmarłego do siebie, susząc je i konserwując, resztę zaś grzebali. Do takich ulubionych pamiątek należała czaszka, spreparowana w odpowiedni sposób, z oczyma z dużych kamieni i przepaską przez obie szczęki. W pobliżu Madisonvill, w Teksas, znaleziono przeszło 400 skieleatów — wszystkie bez czaszek.

Mieszkańcy dorzecza Gabunu, chcąc przyspieszyć rozkład zwłok, rzucają je do mrowiska;

pozostałe kości zbiera rodzina, składa je do kosów i chowa w jaskiniach, lub zawiesza u poddaszy domu, albo wreszcie umieszcza w mieszkaniu.

Na przebieg zwyczajów pogrzebowych wpływa wysoce myśl, że życie przyszłe jest dalszym ciągiem, a zarazem odzwierciedleniem życia na ziemi.

Przyglądając się uroczystościom pośmiertnym u ludów na stopniach kultury pierwotnej, najdobitniej ujawniamy tę ideę, że, ich zdaniem, życie pozagrobowe jest dalszym ciągiem życia na ziemi na tle prawie niezmiennych stosunków.

Raczej każda inna ważna chwila w życiu dzikiego przemienie bez echa, aniżeli pogrzeb.

Battak nie święci urodzin, nie obchodzi wesela, ale na pogrzeb gotów jest oddać wszystko, co ma, poświęcić cały swój majątek.

Aby wyrobić sobie jakie takie pojęcie o sile uczuć, przejmujących duszę pierwotnego człowieka, poznać, jak bardzo odbijają się wierzenia o życiu pozagrobowym na istocie całego obchodu, przyjrzyjmy się obrazowi pogrzebu od pierwszej chwili czynności przedwstępnych do ostatniej uroczystości końcowej.

Wybieramy w tym celu krainę najbujniejszego życia, ziemię czarów, piękności i grozy — wyspę Borneo, bo oto głos olbrzymich, zawieszonych u poddasza kotłów („garatong“), oznajmia osadzie, że jakiś Dajak dogorywa w agonji.

Granie to trwa tak długo, dopóki chory nie umrze; chwilę tę ogłasza „bębnienie śmiertelne“, czyli „titih“.

Zmarłego układają na pięknej macie w środku domu, kładąc na oczy monetę, aby dusza nie widziała z drugiego świata krewnych swoich i nie mogła im szkodzić. Na nowe bębnienie ubierają zwłoki; zanim złożą je w trumnę, krewni zmarłego, okryci w płótna, skarżą się i zawodzą, w czym przodują najęte płaczki.

Jeżeli zmarły pozostawił żonę, zasiada ona u głów męża, odwrócona od niego plecami w białej osłonie i w białej opasce biodrowej (na miejsce dawnej czerwonej) z obciętymi na znak żałoby włosami.

Składaniu zwłok w trumnę towarzyszy dudnienie; kotły, przygłuszane wystrzałami z armaty, umieszczonej przed domem, obwieszają, że zwłoki złożono już do trumny. Trumna musi być bardzo wąską, aby ktoś z rodziny wkrótce nie umarł; wrzucają do niej niektóre przedmioty, jeżeli np. zmarły był dzielnym wojownikiem, to — łuk, strzały, tarcze i t. p., krewni wstawiają potrawę, coś ze świniny, mięsa kurzego, owoców

i t. p., poczym zakładają wieko, zalepiając żywicą szczeliny na brzegach i wszelkie otwory w trumnie. Nowe bębnienie oznajmia mieszkańcom, że orszak pogrzebowy rusza do domku pośmiertnego. Śpiew kapłanek, siedzących w odświętnie przybranej łodzi, towarzyszy zwłokom aż na cmentarz. Tu urządzono już wzniesienie na palach wysokich pod strzechą, mającą chronić zwłoki przed deszczem; stawiają na nim trumnę, połączoną za pomocą długiej rury bambusowej z naczyniem, do którego mają spływać soki rozkładowe zmarłego.

Zwłok nie można pogrzebać wpierw, nim rodzina nie urządzi obchodu uroczystego ze stypą, święta umarłych, czyli „tiwah“. Nieraz mija półroku i więcej, nim to nastąpi. Wprawdzie każdy krewniak radby uczynić to jaknajprędzej, raz dlatego, że wszyscy krewni uchodzą do czasu stypy za nieczystych, powtórę dla tego, że dusza zmarłego „błąka się i przypomina pozostałym ich powinność“, ale chęć nie starczy za uczynek, gdy ten bardzo wiele kosztuje. „Tiwah“ pochłania sumy bająskie, tak że niejedyn, urządziwszy je, traci nietylko cały swój majątek, ale wpada w długi. Ubodzy, nie mogą marzyć o „tiwah“, grzebią trumnę w ziemi, składają bóstwu ofiarę; niekiedy zaś całe osady łączą się, aby święcić spólnie „tiwah“. Święto ciągnie się nieraz całymi tygodniami bez przerwy. Przygotowania rozpoczynają się od wystawienia grobu rodzinnego. Są dwa rodzaje takich grobów. Do grobu „sandoung-raung“ przenosi się trumnę i pozostawia dopóty, dopóki nie zgniją miękkie części ciała; jest to budynek, stawiany nietylko porządnie, ale nawet wykwintnie, z wielkim nakładem, gdyż wiara uczy, że jaki będzie ten grób, takie też będzie mieszkanie dla duszy w krainie pozagrobowej; stąd znajdują się tam wspaniałe rzeźby w twardym drzewie, słupy olbrzymie, przedstawiające ludzi i t. p. — od czasu rządów holenderskich rzeźbione te postacie zastępują miejsce zabijanych dawniej niewolników.

Niezależnie od tego, buduje się spólny „dom zabaw“ ze ścianami i dachem, obitym barwną materją i obwieszonym gałązkami zieleni.

Kotły i bębny grają na odstraszenie demonów i zawiadomienie duszy, że jej święto się zbliża.

Uroczystość z powodu przyniesienia instrumentów trwa pięć dni i lubo jest dopiero świętem przygotowawczym, chłonie moc mięsiwa i trunków. Wreszcie, gdy ryż już oczyszczono, sprowadzono bydło, zamówiono kapłanki, przy-

wozi łódź trumnę, obwieszoną mnóstwem kosztowności — istny sklep jubilerski.

Umysłne półki, w postaci okrętów, pięknie rzeźbione i przybrane, oczekują na przyjęcie trumny w domu zabaw. Na podwórzec przed tym domem ciśnie się i tłoczy pogłowie ludzkie. Gdy słońce schyla się ku zachodowi, „przewodnik dusz“, ze spóldziałem kapłanek, rozpoczyna swój obrzęd. Przewodnik ten — to młody człowiek z ciałem, pomazany krwią. Rzuca on garść ryżu na trumnę z życzeniem, aby dusza owocu, dostawszy się do krainy dusz, zmieniła się w 7 dziewic, które oby ściągnęły dobre duchy. Rozlega się głośnie strzelanie na znak, że przewodnik odprowadzi wkrótce duszę zmarłego do szczęśliwej „Lewulau“. Wsparty na mieczu aranżer obchodu śpiewa monotonnym głosem dziwaczne pieśni, w których rozmawia z duszami przodków. Gdy czerwone oblicze słońca zaczyna tonąć już w morzu, przewodnik, wśród głuchej, przejmującej ciszy, rozpoczyna ostatnie swe dzieło: nawpół pijany, nawpół w zachwycie, zaczyna śpiewać głosem, urywanem ze wzruszenia, ale dzikiem i potężnym; dusza jego płynie za okrętem, wiozącym duszę zmarłego i widzi każdy zwrot statku... Nagle przewodnik wypręża się i rzuca wstecz całą siłą, twarz wykrzywia mu się silnie, spieniona ślina toczy się po wargach, każde włókienko — zda się, drży i kureczy; kapłan wskazuje coś ręką, znaczy jakąś linję w powietrzu, jakby kogoś wprowadzał, nagle wybucha szaloną radością, wołając ochryplym głosem: „Uratowani!... uratowani!...“ poczym chwile się na nogach, słania, potacza i pada omdlały. Pierwszy dzień „tiwah“ skończony. Nazajutrz następuje dzień ofiar.

Na krewnych zmarłego ciąży obowiązek zapewnienia mu wygód w życiu przyszłym, pierwszym zaś warunkiem jest dobra służba. Na kilka miesięcy więc przed „tiwajem“ zamykano kilkunastu niewolników, jak zwierzęta, do klatek żelaznych, gdzie ich licho żywiono. W dniu ofiar kapłanki sypały niewolnikom piasek na głowę i odmawiały modlitwę, aby bóg zabrał ich dusze... Wtedy tłuszcza, pewna, że niewolnicy nie mają już duszy, rozpoczynała pastwienie się nad ich ciałami. Przywiązane do słupa nakłuwano dzidami piersi, ręce, brzuch dopóty, dopóki ofiara omdlała z bólu i ryku, nie obwisła bezładnie lub nie zsunęła się martwa na ziemię.

W ten sposób załatwiano się ze wszystkimi po kolei, wśród piekielnej sarabandy tanecznej. Przewodnik uroczystości ścinał każdemu z zaklutej głowy i wtykał ją na pal, w koło któ-

rego rozpoczynał się nowy taniec. Pijani uczestnicy zabawy, posmarowani krwią ofiar, na dźwięk łączności swej ze zmarłymi, wyli, tańczyli, rzucali się dotąd, póki znużeni, okryci potem i pianą, nie zwalili się na jeden kłęb cielski...

(C. d. n.)

Streścił K. H.

## Na kanwie esperanckiej.



Kilka słów *pro domo*. — Obojętność nasza względem esperantyzmu. — Artykuł w „Ateneum” w r. 1888. — My i zagranica. — Przepowiednie na przyszłość. — Idealisci i ludzie praktyczni. — „*Mia penso*”, wiersz d-ra Esperanto. — Dusza myśliciela. — Przekłady utworów polskich na język Esperanto. — Możliwość użycia języka Esperanto do celów artystycznych. — „*Forkuro*” („Ucieczka”, A. Mickiewicza, w przekładzie na język Esperanto. — „*Mia kanto vespera*”, wiersz, oryginalnie napisany w języku Esperanto.

Pismo „Naokoło Świata” otworzyło kronikę Esperantyczną „mottem” z mojego artykułu, drukowanego w Ateneum w r. 1888, jedyne dotąd polskiego artykułu, w którym dokonano zestawienia języków sztucznych i naturalnych na szerokich podstawach naukowej lingwistyki; w tej mierze praca moja uprzedziła liczne ostatniej doby w literaturze zagranicznej traktaty na ten sam temat uczonych specjalistów Beaufront’a, Couturata, Mocha, Leau i innych, którzy doszli do tych samych, co i niżej podpisany, wniosków samodzielnie, o ile przypadkiem nie zaznajomili się z wymienionym wyżej artykułem „O językach sztucznych i naturalnych”, przełożonym z „Ateneum” w norymberskim piśmie „L’Esperantisto” na język esperancki w r. 1894.

Dalej, pismo „Naokoło Świata” w tej-że kronice zaznaczyło pierwszeństwo mojego hołdu pod adresem twórcy języka „Esperanto” i pierwszeństwo mojej wróżby o koniecznym zwycięstwie tego języka nad „Volapükiem”, który w odnośnej epoce posiadał dziesiątki tysięcy zwolenników, gdy „Esperanto” nie był nikomu znany; w tym względzie autor kroniki Esperantycznej powołał się na mój artykuł w Prawdzie (NN 41, 42, 43) z 1887 roku, t. j. w miesiąc lub dwa po ukazaniu się broszurki Zamenhofs.

Tym sposobem pismo „Naokoło Świata” — jakkolwiek nieimiennie — naprawiło niejaką względem mnie niesprawiedliwość, popełnioną mimowoli przez obie nasze Encyklopedje „Ilustrowaną” i „Orgelbranda”, w których iniejiatya moja i wogóle artykuły moje zupełnie zostały przeoczone.

Poniekąd zapomnienie to przypisać mogę własnej winie, bowiem z pod sztandaru pracy esperantycznej usunąłem się na długi okres czasu, na lat niemal czternaście i dopiero dziś wróciłem pod ten sztandar, jako czynny esperantysta. Ale właśnie tę winę moją pragnąłbym rozpatrzeć z ogólniejszego stanowiska, sądząc, że rzecz ta posiada wagę szerszą i będzie nader pouczającą.

Moje wysiłki nad zaszczepieniem u nas języka, który urodził się na naszym gruncie, okazały się płonnymi. Oba moje artykuły upadły w głuchą próżnię, jak nie wywołały ruchu następne artykuły Pługa, jak poszła na marne ciężka praca propagatorów Grabowskiego i Waśniewskiego. Wielkie dzieło Zamenhofs otaczała u nas w ciągu lat całych zimna obojętność; milczenie przerywały czasami tylko drwinki; rzadka pojawiała się drobna, sympatyzująca idei, wzmianka informatorska\*).

Bystremu oku Świętochowskiego i powadze Chmielowskiego zawdzięczam, że moje artykuły znalazły przyjęcie w ich pismach. Co do Chmielowskiego wszakże winienem, gwoi prawdzie, zaznaczyć, że artykuł mój, otrzymany w grudniu 1887 r., zdecydował się on wydrukować dopiero w sierpniu 1888, że, obawiając się polegać na zdaniu skromnego studenta, doradził mi „wyrzucić entuzjazm” z artykułu i „osłabić pewność tonu” co do zwycięstwa Esperanta nad Volapükiem. Z jakąż przyjemnością, wspominając tę radę, której oczywiście posłuchałem i poczyniłem gwoi redakcji pożądane zmiany, stwierdzam obecnie, że dzisiaj mężowie dojrzali mówią o Esperancie właśnie „z entuzjazmem” i że mojemu studenckiemu zapalowi nie ustępował wcale entuzjazm 82-letniego Ernesta Naville w referacie o języku „Esperanto”, złożonym Akademji francuskiej w r. 1899.

Nie mam w tej chwili pod ręką mojego artykułu w „Ateneum”, ale mam pierwotny tekst (bruljon), przerobiony na żądanie Chmielowskiego. Nie wiem tedy napewno, czy w przeróbce do druku pominięte zostało następujące zdanie:

„Czyliż koniecznie potrzebujemy czekać instrukeji z zagranicy, otwierających nam oczy na dobre strony tego, co od nas wychodzi w świat?!”

Jeżeli to zdanie, napisane d. 8 listopada

\*) Przeważały naogół dziwnie błędne informacje, „Kur. Warsz.” zawiadomił publiczność, że dr. Zamenhof wydał podręcznik Volapüku Schleyera dla Polaków!...

1887 r., wyrzucone zostało, żałuję mocno. Mógłbym powołać się na nie z dodatkiem:

Tak jest, koniecznie musimy czekać. Niezbędnymi są dla nas zawsze wskazówki zagranicy. My sami nie potrafimy ocenić dobrych stron tego, co rodzi się u nas, a nie ma specjalnie swojskiej doniosłości, lecz doniosłość powszechną, ogólnoludzką. Teraz wiem to już napewno.

Zważcie, proszę. Koło idei języka międzynarodowego za granicą krzątają się przedstawiciele dwustu instytucji naukowych. U nas nikt. Setki towarzystw uczonych, handlowych, technicznych, sportowych oświadcza się językiem „Esperanto” — weźmy choćby „Touring-Club de France” z 85,000 członków; u nas jedno tylko towarzystwo — klub wioślarski. W rządach Esperantystów błyszczą imiona znakomitych uczonych zagranicą, wielu profesorów; u nas ideę sztucznego języka uznaje tylko prof. Baudouin de Courteney, mieszkający... w Petersburgu, prof. Dickstein, zamieszkały w Krakowie, prof. Dybowski, nie mieszkający w Warszawie. W Warszawie, gdzie urodził się język Esperanto, nikogo! Powstają pisma Esperanckie we Francji, Szwajcarii, Hiszpanji, Anglii, Włoszech, Szwecji, Bułgarji, Holandji, Belgji, ba! w Ameryce — u nas nie! W Anglii w ciągu ostatnich 10 miesięcy powstało 17 towarzystw esperanckich; my w ciągu lat 17 nie stworzyliśmy ani jednego. Mnóstwo pism zagranicznych drukuje stale kroniki esperantyczne; u nas pisze się o wszystkim, tylko nie o tym; u nas tylko jedno pismo otworzyło łamy swoje informacjom z dziedziny ruchu esperanckiego... pismo „Naokoło Świata”.

Zupełnie przygodnie występując w tym piśmie, mam prawo złożyć z tego powodu hołd redakcji. Usunąłem się na długi czas od ciężkiej pracy około idei esperantyzmu na naszym gruncie, nie uczuwając w sobie siły przełamania obojętności naszego ogółu, zrozumiawszy po bezpłodnych wysiłkach, że ospałość naszą w tej mierze zwyciężyć może tylko wskazanie z zagranicy. Alem przewidział upadek Volapüeku, przewidział zwycięstwo nad nim Esperanta, przewidywał potężny ruch... zagranicą.

Dziś, kiedy hasło rozbrzmiało na zachodzie, kiedy pobudka stamtąd została dana, już jestem spokojny, że Warszawa oceni z czasem to, co urodziło się na jej bruku. I pozwalam sobie wróżyć dalej:

Przyjdzie czas, gdy okaże się, że pismo „Naokoło Świata” było bardziej dalekowidzącym, niż wszystkie inne pisma u nas, że te ostatnie były ślepe na rzecz niezmiernej wagi, na ruch,

który pociągnie nieobliczone, płodne konsekwencje. Dziś bowiem ten, co kwestję zgłębił teoretycznie i praktycznie, kto zna wszystkie szczegóły tego rozwojowego ruchu, trzy rzeczy powiedzieć może napewno: 1) ludzkość będzie posiadała dla stosunków międzynarodowych jeden spólny język 2) będzie to język sztuczny 3) będzie to Esperanto, zmodyfikowany może nieco i świetnie rozwinięty pracą esperantystów, tak jak modyfikuje się, rozwija, ulepsza każdy język żywy pracą mówiących i piszących tym językiem. Ale w zasadniczych swoich rysach będzie to „Esperanto,” twór Ludwika Zamenhofa, mrówczą pracą wielu ludzi udoskonalony utwór jednego gienjalnego człowieka \*). A przepowiednia moja, pozornie tak śmiała, opiera się na następującym podziale ludzi, który wydaje się poradoksem, a jest tylko prawdą. Ludzie dzielą się na idealistów, którzy wymyślają i propagują rzeczy praktyczne, bogacą i doskonałą życie praktyczne, oraz na ludzi praktycznych, którzy nie są zdolni nie wymyśleć, nie nowego popchnąć naprzód, drwią z idealistów i twardo trzymają się tylko już istniejących, a narzuconych im wygod, zarówno jak istniejących, a nieusnniętych jeszcze niedogodności. Pierwsi, zwani niepraktycznymi, bo widzą nie swój własny zysk, lecz zysk powszechny, nie pożytek chwili, ale pożytek przyszłości — *rozkazują*. Drugi, zwani praktycznymi, bo nie widzą dalej swego nosa, bo nie są w stanie samodzielnie zrozumieć własnego pożytku, bo nie umieją oderwać myśli od chwili — *muszą słuchać* i z czasem okazują się zawsze posłuszni. Dla tych ostatnich telegraf przed wprowadzeniem telegrafu jest fikcją, telefon przed wynalezieniem telefonu jest utopją, kolej żelazna przed wprowadzeniem kolei żelaznych jest zbyteczną, fonograf przed zastosowaniem jest niemożliwością itd. I jeżeli te wynalazki powszechnej dogodności nie znajdują przy stosowaniu oporu, to dlatego, że można być tak zwanym inteligentem, ciemnym, jak tabaka w rogu i pleść duby smalone przez telefon, można nie mieć pojęcia o ustroju fonografu i korzystać z fonografu, można nie zdawać sobie sprawy z urządzenia lokomotywy, a zapłaciwszy za bilet, jechać wygodnie koleją. Tymczasem język esperancki wymaga od inteligentnego nieuka, który ukończył klasy nie tylko zapłaty za książeczkę, ale jeszcze... o zgrozo! — uczenia

\*) Oczywiście i ten gienjalny człowiek czerpał wiele ze skarbnicy pracy ogólnej, z natchnień swoich poprzedników na polu filozofji języka i wogóle językoznawstwa.

się w ciągu miesiąca lub dwu! Na ten kolosalny wysilek, potrzebny, ażeby przekonać się o wartości i praktyczności języka, już „praktyczna” przeciętność zdobyć się nie może. Będzie ona kuć na pamięć w potrzebie mnóstwo języków, bo tak się już robi, bo to jej kazano w szkołach. Ale z czasem „rozkaz” idealistów co do uczenia się Esperanta zyska także na mocy; i ludzie „praktyczni” usłuchają i... błogosławić będą ten mus, a z wdzięcznością wspominając „idealistów”!...

(C. d. n.)

Leo Belmont.



## ROZMAITOŚCI.

**Cyklon na wyspie Réunion.** Gwałtowny i długotrwały cyklon spowodował straszne spustoszenie na całej powierzchni wyspy Réunion. Wyspa ta posiada wogóle klimat nadzwyczaj łagodny, który przedstawia pewne zmiany stosownie do szerokości geograficznej pojedynczych miejscowości. Jeżeli na wybrzeżu morskim jest dość gorąco, by uprawiać trzcinę cukrową, na wierzchołkach gór jednak śnieg czasami pada, a termometr staje znacznie poniżej zera. Na płaszczynie Kafrów wporze deszczowej szron pokrywa ziemię prawie każdego rana. Na wybrzeżach średnia temperatura roczna dochodzi do 24°. Podczas pory upału (od listopada do marca) podnosi się od 27° do 32°. Przez resztę roku (od kwietnia do września) temperatura waha się między 16° a 25°.

Wyspa podlega prądowi wiatrów południowo-wschodnich, wiejących regularnie od maja do października. Cyklony, tworzące się na morzu Indyjskim we wszystkich porach roku, a głównie od grudnia do kwietnia, najniebezpieczniejsze zaś w luty, powodują straszne klęski i niszczą plantacje. Siła ich jest zmienna: czasami to tylko silne powiewy wiatru, poruszające fale morskie przez kilka godzin; czasem są to gwałtowne huragany, burzące morze całymi dniami na szerokości więcej niż 1000 kilometrów i niekiedy wielkiemu cyklonowi towarzyszy cyklon drugi tak, że okręt, który uszedł przed jednym, zostaje zaskoczony przez inny. Wirowanie wiatru w ten sposób oddziaływa na fale, że całe morze wygląda jakby się gotowało. Od 1751 do 1885 wyspę Réunion 62 razy nawiedzały cyklony. W roku 1829 cyklon spowodował rozbicie 19 okrętów i śmierć 250 ludzi; w r. 1860 zniszczył też wiele okrętów, zatopił 55 osób i za 3 miliony franków towarów, w 1868 zniszczył na wyspie 2893 domów i 20188 chat. Cyklony występują nie z jednakową siłą na całej wy-

spie. Zdarza się, że huragan niszczy ze szczętem stronę płaskowzgórza, zwróconą przeciw wiatrowi, a oszczędza stronę, od wiatru zasłoniętą; czasem w jednej wiosce wszystkie domy co do jednego wywraca, gdy obok leżącą wioskę sąsiednią w zupełności oszczędza. Siła cyklonu też zmienia się stosownie do wysokości. Niekiedy na szczytach gór atmosfera jest zupełnie spokojna, gdy tymczasem na płaszczynach całe lasy łamią się pod uderzeniem huraganu, a domy zostają przerzucane na znaczną przestrzeń. Cyklony, które początek biorą na południu Indji, mają kierunek południowo-zachodni ku Madagaskarowi, stąd zaś zmieniają go na południo-wschodni ku morzom antarktycznym. Cyklon taki nie dosięga szczytu góry, niszczy więc tylko jej stoki. Nadużycie cyklonu poprzedza zawsze silny przypływ morza, nawet te cyklony, które się tworzą daleko, w innych częściach Indji powodują przy najspokojniejszej nawet pogodzie dopływ olbrzymich bałwanów, rozbijających się o skały nadbrzeżne.

—❀—

**Powrót okrętu „Discovery.”** Dwa statki ratunkowe „Morning” i „Terranova,” które wypłynęły z Hobart 5 grudnia z. r. dotarły do statku „Discovery” 14 lutego i przyholowały go do Lyttelton (w Nowej Zelandji). Spotkanie się tych 3 okrętów wywołało wielkie wzruszenie w załogach i z wielką radością personel statków ratunkowych dowiedział się, że na statku Discovery nic złego nie zaszło. Podczas zimy r. 1903 podróżnicy bardzo pilnie byli zajęci swojemi pracami naukowemi, a na wiosnę stan ich zdrowia nic nie pozostawiał do życzenia. Badania geograficzne pozwoliły ustalić fakt, że ziemia Wiktorji przedłuża się do wnętrza i wznosi się miejscami na 2700 metr. Znajduje się tam niezawodnie znaczny kawał lądu stałego. Odkryto nową drogę na zachód i urządzono skład w odległości 600 metrów od lodowca.

## Tybet społeczny.



Mniszki Tybetańskie.

## Książki i Czasopisma.

*Warszawski kalendarz fotograficzny na rok 1904, wydany staraniem Kasy Przeworności i pomocy dla fotografów pod redakcją Władysława Karolego.*

Kalendarz wychodzi rok trzeci i cieszy się uznaniem osób interesowanych. Całość jego, jak zauważyć można, ułożona w ten sposób, ażeby kalendarz mógł służyć i najszerzszemu ogółowi. I czytelnik, obdarzony wyższą inteligencją, znajdzie artykuły dla siebie odpowiednie i ciekawe, wymagające pewnego ogólnego przygotowania i wykształcenia, znajdzie też rzeczy pożyteczne fotograf zawodowy, posiadający mniejsze wykształcenie. Trudność, wypływająca z układania podobnych wydawnictw, przeznaczonych dla szerokiego i różnorodnego ogółu—zwalczona została nader pomyślnie.

Kalendarz, zasilony pracami Wiktora Gomulickiego, Aleksandra Ginsberga, Dr. Aleksandra Karolego, Dr. L. Andersa, Kazimierza Prószyńskiego, K. Czerwińskiego i wielu innych, posiada też zbiór recept, wybranych umiejętnie. Co rok w kalendarzu spotykamy rzeczy nowe, a więc wobec zwłaszcza ceny niskiej i celu szlachetnego t. j. przeznaczenia dochodu na wspomnianą kasę, polecić go możemy śmiało wszystkim, którzy sztuką fotograficzną się interesują.

Dr. Z. B.



## PRZEMYSŁ i HANDEL KRAJOWY.

(nad.)

**Nowa fabryka.** Dowiadujemy się, że organizuje się w Warszawie towarzystwo w celu prowadzenia wielkiej fabryki ołówków krajowych. Kilku poważnych kapitalistów przyrzekło już swój udział w tym przedsięwzięciu. Organizatorem nowego towarzystwa jest p. Szyndler.

—88—

**Kłódki do wagonów towarowych.** W końcu marca r. b. odbywały się w Petersburgu, bardzo ważne posiedzenia zjazdu zarządów kolei państwowych w Cesarstwie, w celu rozpatrzenia i postanowienia, jakie z dotychczas przedstawianych zamknąć do wagonów towarowych, są najodpowiedniejsze i najwięcej zabezpieczające.

Na zjeździe tym były przedstawione trzy typy kłódek. Inżynier Weisblat przedstawił kłódkę swego wynalazku, inż. Olszewski przedstawił kłódkę p. Jakubowicza i inż. Gustaw Kamieński przedstawił kłódkę wynalazku p. Muchowicza.

## OD ADMINISTRACJI.

Wyszedł z druku 14-ty zeszyt „Życia Zwierząt.“ Prenumeratorom zamiejscowym zeszyt ten zostanie wysłany d. 25 b. m. W razie nieotrzymania, prosimy o sprawdzenie na poczcie miejscowej. Prenumeratorzy miejscowi otrzymają go razem z numerem bieżącym.

## Kronika pogody.

Za czas od d. 14 do 21 kwietnia stan pogody zaznaczył się u nas wysoką względnie temperaturą przy pogodnym niebie; jedynie w końcu tygodnia sprawozdawczego dało się zauważyć oziębienie powietrza i drobne opady w postaci deszczu.

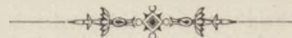
Cisnienia powietrza były w Europie przeważnie niskie, z wyjątkiem krańców wschodnich (Uralu), gdzie jest od dłuższego czasu bez zmiany wysokie ciśnienie, oraz Finlandji i wybrzeży morza Bałtyckiego; w pozostałych miejscowościach ciśnienia powietrza były poniżej normy. Opady zanotowano w niewielu punktach.

G. I.



## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*Wny hr K. F. w Mińsku.* Spisy esperantystów wraz z adresami wychodzą w książeczkach p. t. *Adresaro de la Esperantistoj*. Ostatnia serja, zawierająca adresy nowych Esperantystów od 1 stycznia r. 1902 do 1 stycznia r. 1903, nosi numer XXIII. Książeczkę tę może sz. Pan otrzymać od d-ra L. Zamenhofs (Warszawa, Dzika № 9) za nadesłaniem 20 k. Następna serja XXIV wyjdzie w maju r. b.



Po odbytych próbach wytrzymałości i praktyczności przedstawionych kłódek, okazało się, iż jedynie odpowiedniami dla użytku dróg żelaznych, tak ze względu na wytrzymałość jak i praktyczność całego wewnętrzznego mechanizmu są kłódki wynalazku K. Muchowicza, już poniekąd znane w poważniejszym handlu. Kłódki te zostały polecane do użytku na wszystkich drogach żelaznych.

—88—

Zakład tokarsko-parasolniczy **Franciszka Rycera** przy ulicy Marszałkowskiej № 94, istnieje w mieście naszym lat 11. Specjalnością zakładu są parasole i parasolki, wyrabiane podług wzorów zagranicznych w najnowszych fasonach i gustach, obok tego znajduje się zawsze na składzie wielki wybór wachlarzy szyldkretowych, z perłowej masy, inkrustowanych itp. Zakład p. Rycera przyjmuje też do reparacji wachlarze i wszelkie przedmioty, wchodzące w zakres jego specjalności. Sam właściciel, wyćwiczony zawodowo w pierwszorzędnym zakładach, z zamiłowaniem oddaje się swej pracy i posiada uznanie ogólne z powodu zalet charakteru i sumiennosci kupieckiej.



# HERMAN i GROSSMAN

Warszawa, MAZOWIECKA 16.

ST. PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN.

## Fortepiany i Pianina

65-9

słynnych fabryk

C. Bechstein, Steinway & Sons, Rönisch. Tresselt.

### ANGELUS ORCHESTRAL

pneumatycznie samogrający instrument, zastosowany do fortepianu lub bez takowego, daje następujące kombinacje:

1) solo fortepian, 2) solo organki, 3) Powyższe instrumenty razem.

Cenniki bezpłatnie. Sprzedaż na rozplaty miesięczne.

Wynajem wyborowych instrumentów. Telef. 555.



Telefon № 2426.

Skład tytoniu

*S. Chorzewski*

77. w Warszawie, ulica Marszałkowska 77.

Firma powyższa niewątpliwie zadowolni każdego, kto lubi

dobrze tytonie, cygara i papierosy,

jest bowiem zawsze zaopatrzona

w wielki wybór

10-6

najlepszej flory tytoniowej Turcji, Kaukazu i Krymu.

**Szkoła komercyjna Edwarda Rontalera** z prawami szkół rządowych realnych w Warszawie, ulica Kaliksta 6, składa się z klasy podwstępnej, wstępnej i 7 klas ogólnie kształcących. Do wstępnych klas przyjmowane są dzieci od 8 do 11 lat, do 1 klasy od 10 do 13 lat. Nowy program szkoły i jej ustawa jest do nabycia w księgarni Wendego w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 9.

**Kursy agronomiczne** 3 letnie z prawami szkół rządowych, na które przyjmowani są bez egzaminu uczniowie, kończący 4 klasy szkół komercyjnych lub szkół realnych rządowych. Uczniowie gimnazjum, promowani do klasy 5 mogą wstąpić na 1 kurs z dodatkowym egzaminem z języków nowożytnych i fizyki. Uczniowie szkół prywatnych muszą zdawać egzaminy ze wszystkich przedmiotów podług programu czterech klas szkoły komercyjnej.

Egzaminy kandydatów nowowstępujących odbywają się w dwu terminach: od 14 do 17 maja i od 1 do 5 września nowego stylu. 4-3

## F. Załęski, B-cia Rudniccy i A. Gradenwic

Warszawa. Chmielna 26.

### SKŁAD MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH

poleca:

Brony sprężynowe szwedzkie.

Siewniki do nawozów sztucznych „Westfalia.”

Separatory do mleka „Alfa.”

8-3

Żniwiarki, Kosiarki i Grabie amerykań. „Plano.”

Treść № 17: Angliacy w Tybecie (rysunek). — Współczesna żegluga morska (ciąg dalszy) napisał Marjusz Zaruski. — Szkoła polska w Paryżu (dokończenie — z rysunkami) przez Kazimierza Woźnickiego. — Indje (ciąg dalszy) w przekładzie Józefa Jankowskiego. — Mapa powiatu Radzyńskiego. — Panorama ludów (z rysunkami) przez am. — Śmierć, zabobony, i obrzędy pogrzebowe (ciąg dalszy) streścił K. H. — Na kanwie esperanckiej przez Leo Belmont. — Rozmaitości. — Książki i czasopisma przez Dr. Z. B. — Kronika pogody przez G. I. — Odpowiedzi Redakcji. — Od administracji. — Ogłoszenia.

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści”: Biały wódz. Opowiadanie z życia mieszkańców Ameryki Środkowej przez Mayne Reid'a (str. 177—184). — Azja w płomieniach, powieść Féli-Brugiére i Louis Gastine, tłómaczyła A. Wodzińska (str. 129—136).

**Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata”:** w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Zagranicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści”: w Warszawie rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. — Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9. — Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. — Zmiana adresu kop. 20. — Cena numeru kop. 10.

Agientura w Łodzi:  
Księgarnia L. Fiszer, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:  
Warszawa, ulica Wspólna Nr. 71.

Agientura w Częstochowie:  
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.

Довзголено цензурою, Варшава, 9 Апрель 1904 г.

Drukarnia R. Kanińskiego & W. Węławowicza, Zielna 20.